##### Tułaczka Odyseusza

Kiedy wybuchła wojna, Odyseuszowi piękna Penelopa właś­nie urodziła syna. Kołysać dziecko, słyszeć jego pierwsze gaworze­nie, brać je na ręce i nieść do dziadka Laertesa, siedzieć w cie­niu drzew i patrzeć na żonę karmiącą niemowlę, pod wieczór od­bierać raporty zarządców i naczelnych pasterzy, jakie urodzaje, ile cieląt, a ile prosiąt przybyło, wyjść o świcie do wilgotnego sadu i podcinać gałązki drzewek lub krzątać się dokoła winnych latoro­śli, urządzić biesiadę z przyjaciółmi — mięso wyborne, chleb świe­żutki, dobre wino — posłuchać pieśni wędrownego śpiewaka lub opowiadań ludzi starych i bywałych — w takich codziennych, zdro­wych radościach zamykał się krąg wszystkich jego pragnień. Woj­na, odbierająca mu to wszystko nagle i gwałtownie, odrzucająca go w strony obce i dalekie — wydawała mu się potworną niespra­wiedliwością. Z początku udawał szaleńca, aby nie pójść. Ale pod­stęp wykryto.

Porzucając żonę i syna Telemacha, obiecywał jak najrychlej powrócić. Tymczasem lata mijały, a wojna trwała. Gdy wreszcie Troja padła, nie było w całym obozie greckim człowieka, który by gorliwiej sposobił się do drogi. Odyseusz był przekonany, że naj­dalej za dwa tygodnie, licząc konieczne postoje i nieoczekiwane przeszkody — dobije do brzegów Itaki. Los pokierował inaczej.

Na morzu srożyła się burza. Huragan połamał maszty i poszarpał żagle. W jakiejś przypadkowej przystani znalazło się schronienie, gdzie naprawiano uszkodzone okręty. Przepłynęli całe Morze Egej­skie, gdy nagle zerwał się wicher i zaniósł statki Odyseusza ku nie­znanym wybrzeżom. Był to kraj Lotofagów. Zamiast zboża rosły tam łany lotosów o smaku tak wybornym, że kto skosztował owego czarodziejskiego ziela, nie chciał już wracać do ojczyzny. Kilku towarzyszy Odyseusza zjadło parę lotosów i musiano ich gwałtem zabrać na pokład, bo wydzierali się i krzyczeli, że zostaną.

Żeglując po Morzu Sycylijskim przybiły statki Odyseusza do ziemi ze wszech miar urodzajnej, na której wypasały się nieprzeli­czone stada kóz i owiec. Wszystko to należało do cyklopów, olbrzy­mów o jednym oku w środku czoła. Najpotężniejszy wśród nich był Polifem, syn Posejdona. Odyseusz wziął dwunastu towarzyszy, bukłak wybornego wina, trochę zapasów i ruszył w głąb kraju chcąc poznać obyczaje dziwnych mieszkańców. Pieczara, w której mieszkał Polifem, była pusta: gospodarza nie było w domu. Weszli tedy i czekali. Przyszedł dopiero pod wieczór. Na jego widok stru­chlały im serca. Był wielki jak góra. Zapędził trzodę do pieczary, a wejście zamknął głazem tak ogromnym, że dwadzieścia cztery woły nie ruszyłyby go z miejsca. Wydoił kozy i owce, rozpalił ogni­sko i przy świetle ujrzał w kącie gromadkę ludzi. Odyseusz powie­dział, że nazywa się: Nikt, ale on nie słuchał, tylko porwał dwóch, rozszarpał na kawałki i zjadł. Tak mu smakowało, że szpik z kości wysysał. Na śniadanie zjadł znowu dwóch i obiecał Odyseuszowi — nazywał go: Nikt — że go sobie na ostatek zachowa.

Syn Laertesa odparł, że umie ocenić ten zaszczyt, i poczęstował olbrzyma kubkiem starego wina. Polifem nigdy nie pił nic równie doskonałego. Kazał sobie jeszcze raz nalać i pił, aż go odeszła przy­tomność i runął powalony snem bezwładnym. Odyseusz rozpalił ogień, włożył doń tęgi kół z drzewa oliwnego, a gdy się drzewo zajęło, wraził rozżarzoną głownię w oko Polifema. Oślepiony cyklop ryczał z bólu, aż drżały ściany pieczary. Lecz nie mógł pochwycić ani Odyseusża, ani jego towarzyszy, którzy zwinnie uciekali po za­kamarkach jaskini. Wtedy siadł przy wyjściu i czekał. Tymczasem chytry król Itaki obmyślił nowy podstęp. Przywiązał siebie i to­warzyszy pod brzuchami baranów i tak razem z trzodą wymknął się z więzienia.

Na koniec przekonał się Polifem, że zdrajca uszedł. Zwołał swoich ziomków, olbrzymich jak sam cyklopów, i prosił, żeby go pomścili. Oni zaś pytali, kto mu oko wypalił; “Nikt! Nikt" — krzyczał Poli­fem, bo tak mu się Odyseusz przedstawił pierwszego dnia. Ale wszyscy myśleli, że cyklop oszalał: mówi, że nikt mu oka nie wy­palił, a jednocześnie wzywa pomocy. I odeszli do swoich domów. Odyseusz zdążył wsiąść na okręty, a odbijając od brzegu zaczął się przechwalać: “Słuchaj, cyklopie, jeśli ktokolwiek zapyta, kto cię oślepił, powiedz: ten, co zburzył Troję, syn Laertesa!" Było to w złej chwili powiedziane. Polifem stanął na wybrzeżu i zaczął się modlić do ojca swego: “Usłysz mnie, Posejdonie, władco ziemi błękitno-grzywy, jeślim ja twój syn, a ty moim ojcem, spraw, aby Odys grodoburca nie wrócił do domu. A jeśli mu przeznaczone wrócić do ziemi ojczystej, niechaj późno przybędzie i w nędzy, straciwszy wszystkich towarzyszy, na cudzym okręcie, a w domu niech go spotka niedola". Usłuchał go Posejdon i klątwa Polifema miała się speł­nić co do słowa.

Zawinąwszy do wyspy Eolii, zjednał sobie Odyseusz króla Wia­trów, Eola, który tak go polubił, że na odjezdnym dał mu miech skórzany, gdzie były zamknięte wszystkie wiatry. Odyseusz mógł teraz spokojnie płynąć do domu, wypuściwszy z worka tylko wiatry pomyślne. Jakoż dziewięć dni i dziewięć nocy żeglował bez żadnych przeszkód, pewny, że dziesiątego dnia zobaczy dymy ojczystej Itaki. Ale gdy usnął w nocy, towarzysze zebrali się i jęli radzić o tym tajemniczym miechu, w którym domyślali się wielkich skarbów. Wreszcie postanowili się przekonać. Ledwo worek rozwiązali, wyleciały srogie wiatry, porwały okręty i zapędziły je na dalekie prze­stwory morza.

Zaczął się nowy okres tułaczki. Po tygodniu dopłynęli do jakiejś wygodnej przystani, gdzie Odyseusz uwiązał statki, a sam wdrapał się na szczyt najbliższego wiszaru. Nigdzie nie widać było ani pól uprawnych, ani pasących się stad bydła, tylko w jednym miejscu unosiły się gęste dymy i opary, jakby tam leżało ludne miasto. Po­słano na zwiady dwóch ludzi, którzy rychło przedarli się przez las do owego miasta. W pierwszym domu, do którego weszli, mieszkał król potężnego ludu Lajstrygonów, a był to okrutny olbrzym. Porwał jednego z przybyszów i zjadł na surowo. Drugi uciekł, co miał sił, bo mu ten dom zapachniał pieczarą Polifema. Odyseusz nie zdążył przysposobić okrętów do drogi, gdy na wybrzeżu zaroiło się od dzikich Lajstrygonów. Potworne głazy, gęsto jak grad, sypały się na okręty biednego tułacza, niosąc śmierć załodze, łamiąc masz­ty, gruchocąc kadłuby, które nasiąkały wodą i tonęły. Ocalał tylko statek Odyseusza: jedenaście innych, wraz z całą zdobyczą trojań­ską, pochłonęło morze.

Okręt Odyseusza wymagał naprawy, ludzie potrzebowali wy­tchnienia i posiłku. Przybili więc do wyspy, która wydała im się nie zamieszkaną. Lecz doświadczenie nakazywało ostrożność. Po­dzielili się zatem na dwa oddziały. Odyseusz z połową załogi został na statku, a reszta, dobrze uzbrojona, poszła w głąb lądu. Niedaleko wybrzeża, w prześlicznej dolinie wyścielonej miękką trawą stał god­ny zamek z ciosowego kamienia. Wokół przechadzały się oswojone lwy i wilki. Z pałacu słychać było słodkie śpiewanie. Był to głos pani tej ziemi, córki Słońca, uroczej czarodziejki Kirke. Dojrzawszy gości w progu, przerwała robotę na krosnach, wyszła do nich i zaprosiła na pokoje. Dała im jeść i pić, a kiedy swój głód nasycili, wypędziła ich różdżką do obory. Wówczas spostrzegli, że czarow­nica zamieniła ich w świnie.

Jeden z nich zdołał uciec w postaci ludzkiej i przybiegłszy do okrętu opowiedział przygodę, Odyseusz wziął miecz i sam poszedł do pałacu. W drodze spotkał Hermesa, który mu dał ziele zabezpie­czające przed czarami. Kirke nakarmiła i napoiła syna Laertesa, a widząc, że mu nie szkodzi posiłek przyrządzony na ziołach czaro­dziejskich, chciała go dotknąć swą różdżką. Lecz on skoczył ku niej z mieczem. Czarownica padła na kolana i prosiła o przebaczenie. Wróciła jego towarzyszom kształt ludzki, a była taka łagodna i ko­chająca, że Odyseusz rok przesiedział w jej gościnnym odtąd pałacu. A kiedy odjeżdżał, Kirke objawiła mu, że z woli bogów musi udać się na najdalsze krańce zachodu, gdzie jest wejście do podziemia, wywołać duszę wróżbity Tejrezjasza i wziąć od niego rady na dal­sze życie.

Długo żeglował, zanim dotarł do mrocznej krainy Kimeryjczy­ków, którzy nigdy słońca nie widzą. A gdy w końcu przybył do miejsca oznaczonego przez Kirke, wyciągnął statek na brzeg i wraz z towarzyszami poszedł do gaju Persefony, gdzie było wejście do podziemia. Mieczem wykopał dół w ziemi i zaczął obiaty: najpierw lał miód i mleko, potem wino, wreszcie wodę, zmieszaną z odrobiną mąki. Wybrał kilka czarnych owiec, a poderżnąwszy im gardła, krew wypuścił do ofiarnego dołu. Zapach świeżej krwi zwabił błęd­ne dusze zmarłych, które poczęły zlatywać się niby muchy. Każda z nich pragnęła napić się krwi ciepłej, aby na chwilę odzyskać świadomość, myśl i słowo. Ale Odyseusz odpędzał je mieczem, cze­kając na Tejrezjasza. Przyszedł na koniec, podpierając się złotym berłem, i napojony krwią, wróżył. Przepowiedział mu dalszą tułacz­kę i powrót do ojczyzny, a potem rzekł: “I znowu musisz pójść na morze i wędrować wciąż dalej i dalej, póki nie spotkasz takiego lu­du, który nigdy nie widział morza i nie wie, co znaczy okręt albo wiosło, i nie używa soli. Abyś się nie omylił, dam ci znak jeden: przechodzień, widząc cię z wiosłem na ramieniu, powie, że niesiesz łopatę do przesiewania zboża. Wtedy wbij wiosło w ziemię, złóż ofiarę Posejdonowi i wracaj do ojczyzny. Tam, u kresu szczęśliwej starości w twym państwie kwitnącym, oczekiwać będziesz słodkiej śmierci, która do ciebie wyjdzie z morza".

Odszedł Tejrezjasz, przyszły inne dusze. Piły krew i rozmawiały. Najpierw matka, Antikleja, później Agamemnon, Achilles, Patroklos, Antilochos, Ajaks. Przez otwór w ziemi ujrzał Odys głąb pie­kieł: Minos, sędzia umarłych, siedział na tronie ze złotym berłem w ręce, cień Oriona gonił po łąkach asfodelowych cienie zwierząt, jakby łowy sprawował. Tytios, który ongi znieważył Latonę, leżał ogromny, rozciągnięty na ziemi, i dwa sępy darły z niego trzewia... Odys nie mógł się dość wszystkiemu napatrzyć. Lecz zaczęły się ściągać takie dusz gromady, że zdjęty przerażeniem bohater uciekł, spędził towarzyszy na pokład okrętu, odczepił liny i odpłynął.

Wracał tą samą drogą, którą odbył w tamtą stronę, jadąc do pod­ziemi z wyspy, gdzie mieszkała Kirke. Raz jeszcze odwiedził swą przyjaciółkę, otrzymał od niej zapasy w jadle i napoju i cenne rady, jak wymijać niebezpieczeństwa dalszej podróży. Pomyślny, łagodny wiatr zaniósł okręt Odyseusza do wyspy syren. Król Itaki wie­dział, co mu grozi. Syreny były to stwory morskie, do pół ciała piękne panny, resztę miały upierzoną jak u ptaka. Zakrzywionymi szponami trzymały się skał nadwodnych i trzepotały skrzydłami. Miały głos tak cudny, że kto je posłyszał, odkładał wiosło i zapo­minał o falach. Wtedy prądowiny znosiły łódź ku wyrwom, między rafy, i rozbijały. Na wyspie syren bielały niezliczone kości zatopio­nych żeglarzy. Aby towarzysze nie ulegli czarowi syreniego śpiewu, zalepił im Odyseusz uszy woskiem.

Sam zaś kazał się przywiązać do masztu mocnymi powrozami: “Gdybym płakał, gdybym się rwał, gdybym was prosił, żebyście zdjęli ze mnie więzy — nie słuchajcie, ale przywiążcie mnie jeszcze silniej".

Syreny wabiły żeglarzy najpiękniejszym śpiewem, ale załoga okrętu ich nie słyszała. Odys zaś, widząc, że mijają te czarodziejki o słodkim głosie, stęskniony za ich śpiewem, pod magicznym uro­kiem, szarpał trzymające go powrozy i czynił znaki, żeby go odwią­zano. Nikt go nie usłuchał. Tak przepłynęli. Lecz już czekała ich nowa, groźniejsza przygoda. Pomiędzy wyspą Sycylią a wybrzeżem Italii otwierał się bardzo wąski przesmyk morza. Po obu jego stro­nach były dwie skały. W jednej, stromej i gładkiej jak szklana góra, była pieczara, a w niej mieszkała owa Skylla, w której niegdyś kochał się Glaukos. Potwór za zbliżeniem się okrętu porywał z po­kładu ludzi. W drugiej zaś skale, nad którą rosło drzewo figowe, mieszkała Charybda, poczwara straszliwa, która trzy razy na dzień wciąga morze w swą gardziel bezdenną i trzy razywypluwa połkniętą wodę. Cokolwiek się zdarzy na powierzchni, leci w roz­wartą paszczę jak w otchłań, z której nie ma ratunku. Gdy statek Odyseusza podjechał do tego miejsca, właśnie Charybda chłonęła w siebie spienione wody, z ogromnym, żarłocznym bulgotem. Odys kazał wziąć się do wioseł i podpłynąć pod drugą skałę, pod piecza­rę Skylli. W tej chwili wysunęło się stamtąd sześć paszcz okrut­nych i porwało z pokładu sześciu towarzyszy. Była to strata ko­nieczna, aby ocalić okręt i resztę załogi. Wyminąwszy Charybdę, która z tej odległości nie mogła dosięgnąć statku, wyruszyli tułacze w dalszą drogę, opłakując los sześciu przyjaciół.

Stamtąd dopłynęli do wyspy boga Słońca. Odyseusz, tknięty złym przeczuciem, chciał ją wyminąć. Lecz załoga nie usłuchała. Ludzie byli pomęczeni i głodni. Wyciągnęli na brzeg okręty i rzu­cili się na stado wołów, które się pasło na łące. Zabili co najtłustsze sztuki i zjedli. W najlepszych humorach odczepili liny, podnieśli żagle i ruszyli w dalszą drogę. Wtem słońce się zaćmiło i rozszalała taka burza, iż wszystkie statki zatonęły. Bóg Helios ukarał święto­kradców, którzy ważyli się zabić woły z jego stada. Ocalał tylko Odyseusz. Siedząc okrakiem na belce, przez dziewięć dni walczył z nawałnicą. Na koniec na wpół nieżywego fale wyrzuciły na piasz­czysty brzeg wyspy Ogigii.

Rozbitka znalazła nimfa Kalipso. Mieszkanie miała w ślicznej grocie, dokoła której rosły cyprysy, topole, osiki. Górą pięła się winna latorośl. Z czterech źródeł wybiegały srebrne strumienie, a wiecznie zielone łąki pachniały fiołkami. Kalipso poiła Odyseusza nektarem i karmiła ambrozją. Wrychle wrócił do sił i zdrowia. Oka­zało się wówczas, jak pomimo lat, trudów i cierpień syn Laertesa był wspaniałym mężczyzną. Wysokiego wzrostu, kark miał potężny, pierś szeroką, barki rozłożyste, lędźwie i nogi mocne. Czarne włosy opadały mu na ramiona w bujnych, wijących się kędziorach. Boska wybawicielka obiecywała mu nieśmiertelność, wieczną młodość, prosiła, żeby został jej mężem. A on po całych dniach przesiadywał nad brzegiem morza i patrzył w stronę rodzinnej Itaki.

W ósmym roku tej miłosnej niewoli zjawił się nagle posłaniec bogów, Hermes. Wszedł do pieczary. Na ognisku paliło się żywiczne drzewo cedrowe. Kalipso krzątała się około krosien i śpiewała. Na widok przybysza z Olimpu zamilkła. W pokorze wysłuchała rozkazu Dzeusa i wolniutko powlokła się nad morze szukać Odyseusza. Sie­dział, jak zwykle, zapatrzony w siną odległość. Położywszy mu rękę na ramieniu, mówiła. Oto Dzeus rozkazuje, by się sposobił do po­wrotu. Ona, mała, nic nie znacząca nimfa, nie może się sprzeciwiać woli pańskiej. Łzy zbiegły jej po twarzy. Wspomniała dzień, kiedy go znalazła bez duszy na brzegu i jak go później do życia przy­wiodła, i jak kochała. A on woli odjechać, woli porzucić boginię i wracać do żony, która jest zwykłą kobietą.

Odyseusz stłumił w sobie radość, która mu piersi rozsadzała. Le­dwo Kalipso odeszła, zabrał się do roboty. W kilka dni sporządził mocną tratwę, której daleko było do pięknych łodzi, z jakimi wy­jechał pod Troję, ale która nagle wydała mu się i domem, i szero­kim, swobodnym światem. Kalipso dała mu zapasy na drogę i w milczeniu odeszła. Odbił się wiosłem od skały przybrzeżnej i pod­dał się wiatrom i życzliwemu biegowi fal.

Samotnego wędrowca dojrzał na wielkiej przestrzeni wód Posejdon. Bóg przypomniał sobie prośbę Polifema. Trójzębem wzburzył morze i kazał dąć wichrom. Przez dwa dni i dwie okropne noce, wśród wycia huraganu i jaśnienia błyskawic Odys, znów pozbawio­ny statku, jedynie siłą swych ramion opierał się przeraźliwej mocy bałwanów. Na koniec uczepił się jakiegoś wybrzeża i w omdleniu padł w ilaste zasiąkla, porosłe rzadkimi krzakami.

Nazajutrz obudził go śmiech dziewcząt. Kilkanaście panien grało w piłkę nad brzegiem morza. To królewna Nauzykaa, ukoń­czywszy pranie bielizny, zabawiała się ze swoimi dworkami. Kiedy Odyseusz wyszedł z krzaków — nagi, okryty mułem rzecznym, straszny — dziewczyny uciekły. Została tylko królewna, w której litość dla nieszczęśliwego człowieka zwyciężyła lęk. Dała mu jeść, pić i świeże szaty. Gdy się wykąpał i ubrał, z nędzarza zmienił się w króla. Widząc go takim pięknym, przeprosiła Nauzykaa, że go nie może wziąć ze sobą na wóz: powstałyby z tego plotki, gdyby ją zo­baczono, jak jeździ po mieście z obcym mężczyzną. Pokazała mu więc drogę do pałacu i odjechała.

Odyseusz znajdował się na Scherii, wyspie zamieszkałej przez Feaków. Z dala od reszty ludzi wiodą oni życie zbożne i spokojne. Są wybornymi żeglarzami, lecz wyprawiają się na morze jedynie dla przyjemności: nie znają ani handlu, ani wojen.

Okręty ich lecą po morzu prędzej niż myśli. Nie potrzebują steru, albowiem statki posiadają własną duszę, która rozumie zamiary po­dróżników. Są to jakby okręty widma i mkną wśród fal otoczone chmurami i mgłą. Nie wiedzą, co to niebezpieczeństwa; morze dla nich jest zawsze gładkie i spokojne, Feakom życie upływa jakby na wiecznym ucztowaniu. Lubią muzykę i wszystkie igrzyska, ubiera­ją się bogato, mieszkają wspaniale, mają łóżka miękkie, w których wypoczywają po ciepłej kąpieli. Wolą tańczyć niż wywijać mieczem lub dzidą. Skołatanemu rozbitkowi Scheria wydawała się bajką, wy­lęgłą z tęsknot w długie ponure godziny nawałnicy morskiej.

Pałac króla Alkinoosa miał ściany ze spiżu, a drzwi ze złota. Na wysokich postumentach stały posągi młodzieńców z pochodniami, które zapalano, ilekroć uczty przeciągały się do nocy. Po drugiej stronie pałacu był sad, gdzie grusze, figi, granaty, śliwy, jabłonie rodziły przez cały rok wyborne owoce, albowiem w kraju Feaków nie znano zimy. Gdy Odyseusz wszedł do sali biesiadnej, ujrzał książąt feackich, siedzących na ozdobnych krzesłach, wyścielonych haftowanymi dywanami. Wszyscy pili, śmiali się i rozmawiali, a we­sołemu zebraniu przewodniczył król Alkinoos, na tronie, u boku swej małżonki. Syn Laertesa opowiedział im swoje przygody, pro­sząc o statek, który by go zawiózł do Itaki. Król i książęta złożyli mu dary tak bogate, że przewyższały wartością zdobycz trojańską przepadłą na morskich włóczęgach. Na wygodnym łożu, które usta­wiono na pokładzie statku, Odyseusz zasnął zmożony trudami i na­dzieją powrotu. Na sennych powiekach długo trwał obraz smutnej Nauzykai, która go pożegnała milczącym spojrzeniem.

Odyseusz spał, gdy Feakowie przybili do Itaki. Wyniesiono więc śpiącego na brzeg, a skarby ukryto w załomach skalnych. Słońce już było wysoko, gdy się obudził. Nie poznał własnej ziemi. Wtedy zjawiła się Atena i otworzyła mu oczy i pamięć. Rwał się biec do domu, do żony, do syna. Bogini go powstrzymała. Trzeba być ostroż­nym. Wszyscy uważają go za zmarłego. Z sąsiednich wysp zjechali się młodzi książęta zalotnicy. Starają się o rękę Penelopy i o dzie­dzictwo po zaginionym. Królestwo marnieje. Wierna żona już nie ma sił walczyć z natarczywością zalotników. Zwodzi ich, jak może. Powiedziała, że nie wpierw wyjdzie za mąż, póki nie uszyje szaty pośmiertnej dla ojca. Aby zyskać na czasie, szyła tę szatę coś ze dwa lata: co w dzień uszyła, to pruła nocą. Na koniec pod­stęp się wydał. Książęta nalegają, aby któregoś z nich ostatecznie wybrała. Gdyby Odyseusz zjawił się nagle wśród nich, zabiliby go niechybnie.

Bogini dotknęła tułacza różdżką czarodziejską. Członki skurczyły się, postać zgięła się we dwoje, skóra obwisła na wychudłych piszczelach. Brudne, dziurawe łachmany okryły żebraka, w którym nikt by się nie domyślił świetnego rycerza spod Troi. Przemieniony Odyseusz wziął kostur, zarzucił na plecy biesagi i w przebraniu nędzarza ruszył na podbój własnego domu i królestwa.

Jakoż nikt go nie poznał. Zachodził wszędzie swobodnie, kar­miony miłosierną ręką, jako żebrak, stojący pod opieką Dzeusa. Dopiero kiedy wszedł na dziedziniec swego pałacu, stała się rzecz nieoczekiwana. Pod bramą, na kupie gnoju, leżał Argos — stare, bezsilne psisko. Jadło go robactwo, głód dobijał. Nagle do jego parszywych, otępiałych uszu doleciał głos znajomy. Spod mierzwy lat i nędzy wydobyły się wspomnienia dalekie, a przegniłe chrapy porwały nieoczekiwanie spod łachmanów wędrownego żebraka — znajomą woń pana. Poruszył się, chciał się przyczołgać do nóg Odyseusza, całym wysiłkiem psiej wierności dźwignął się na zmar­twiałe łapy — i zdechł.

Odyseusz wszedł do pałacu. Widział rozpustę zalotników i sie­dząc na progu świetlicy żuł w milczeniu hańbę swego domu i my­ślał o zemście. Wreszcie nadeszła pora. Nazajutrz odbywał się tur­niej o rękę Penelopy. W podłogę sali biesiadnej wbito jednym rzędem dwanaście toporów. Każdy z zalotników brał ogromny łuk Odyseusza i próbował tak strzelić, aby grot przeszedł przez otwory wszystkich, rzędem stojących toporów. Lecz nikt nie miał nawet dość siły, aby napiąć łuk bohatera. Jeden drugiemu broń ze wsty­dem oddawał. Na koniec żebrak, siedzący na progu, prosił, żeby i jemu pozwolono. Telemach, któremu ojciec zdradził swą tajem­nicę, kazał podać łuk. Nieznacznie zamknięto wszystkie wyjścia. Odyseusz naciągnął łuk, aż cięciwa odbrzękła jaskółczym gwizdem, wypuścił strzałę i grot przeszedł przez wszystkie topory.

Opadły zeń łachmany żebracze. Nagi, potężny, gniewny stał przy drzwiach niby bóstwo zemsty. Podniósł łuk. Brał jedną strzałę po drugiej i szył w zbitą gromadę zalotników. A gdy skończył, odłożył broń, wielce utrudzony. Służba wyniosła trupy ze sali, stoły i stołki z krwi obmyto, wymieciono, wykadzono siarką.

W górnych pokojach wszczął się rwetes. Penelopa spała. Przy­biegła do niej stara klucznica z krzykiem, że pan wrócił i wymor­dował zalotników. Królowa zeszła na dół. Odyseusz siedział pod słupem, na środku pustej sali biesiadnej. Niedaleko stał syn Telemach, wpatrzony w ojca. Oddzielony dwudziestu latami rozłąki, utrudzony krwawym żniwem, którego właśnie dokonał, wydał się jej mąż jakimś obcym, dalekim, nie wiedziała, jak witać, jak mówić. Dopiero gdy odświeżył się kąpielą, przebrał, zagadał o rzeczach im tylko obojgu wiadomych — padła mu z płaczem w ramiona.

Pod jaworem na dziedzińcu lub w ogrodzie siadywali we czworo: stary ojciec Laertes, Penelopa, Telemach i Odyseusz, który opo­wiadał wszystko, czego doświadczył: dzieje wojny trojańskiej i swoją tułaczkę. Z dalekich stron zjeżdżali się krewni i znajomi albo i obcy ludzie, żeby zobaczyć człowieka, który był w podziemiu i słyszał śpiew syren, i był kochankiem nimf mieszkających w gro­tach tajemniczych. A gdy nadszedł czas, Odyseusz odczepił okręt i odjechał na nową tułaczkę, wywróżoną przez Tejrezjasza, posłuszny bogom i przeznaczeniu. Powrócił po wielu latach i osiadł w dworzyszczu — król z siwą brodą, czekający na śmierć, która miała doń wyjść z morza.